Kraków, 11-go Kwietnia 1908 r.

Rok 4. Nr. 8.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 15 „Prawdy.“

JAN Z KOLNA.

Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

— Najpierw powinienem przebłagać pana ojca i matkę, żem wam tyle strapienia przed pięciu laty narobił, oddalając się bez waszej wiadomości, kryjomo. Ciężko mi to było, ale jakoby coś pchało mię ku temu Gdańskowi, żem się nie mógł powstrzymać. Droga była daleka i dla młodego chłopca trudna do przebycia, gdyby nie ów poczciwy szyper, który mię żywił i wiódł z sobą. Po dostaniu się na miejsce, ów człowiek zajął się swojemi sprawami, a ja musiałem już sam myśleć o sobie. Ciężko mi było, nieraz i głodu przymarłem, już i wrócić chęć miałem, tylko mię wstyd wstrzymywał. Nakoniec, nosząc raz towary na okręt duński, wpadłem w oko kapitanowi, i przyjął mię do służby. Parę lat zeszło na ciężkiej pracy: pływaliśmy do Szwecyi i do Norwegii, do Anglii i do Holendrów nawet, rozwożąc towary gdańskie, a przywożąc tamtejsze. Z czasem wyuczyłem się tyle, żem wreszcie na sternika postąpił. Zawsze jednak chęć odkrywania cudzych krajów mię trapiła, a nie wiedziałem, jak temu zaradzić. Właściciel okrętu znał dobrze te moje zamysły, a dowiedziawszy się, że Chrystyan, król duński, gotuje wyprawę do Islandyi i Grenlandyi, powiedział mi o tem, radząc, abym się starał do niej dostać. To jednak nie było rzeczą bardzo łatwą, bo zależało od pozwolenia samego monarchy. Długom czy-

mił zabiegi, ale nigdzie mi się nie wiodło, nikt mię nie znał i nikt pomódz nie chciał. Aż wreszcie innego sposobu nie widząc, pomodliłem się gorąco i postanowiłem iść do samego króla, gdy będzie posłuchanie dawał, i prosić go, aby mi z onym okrętem jechać pozwolił. Kiedy nadszedł dzień, w którym stanąć miałem przed królem, ledwie nie utraciłem odwagi. Zaszedłem do pałacu, ale zdjęła mię tu większa trwoga przed samym monarchą, siedzącym w całym blasku majestatu na tronie, otoczonym najpierwszymi panami królestwa duńskiego. Westchnąłem do Pana Boga, a gdy nadeszła na mnie pora, acz wielce zmieszany, śmiałym i wyraźnym głosem powiedziałem moją prośbę. Król Chrystyan wysłuchał mię, spojrzał mi bystro w oczy i spytał: — „I dlaczegoż to cudzoziemcze, chcesz należeć do tej wyprawy? Czy cię ciągnie chęć zysku i nagrody, jakie obiecałem tym, którzy szczęśliwie wrócą?“ — „Nie wiem, miłościwy królu — odrzekłem, — czy są jakie nagrody obiecane. O zysk nie stoję, pragnę tylko zwiedzić dalekie kraje, aby ich mieszkańców dzikich, którzy nie znają świętej wiary katolickiej, z pogaństwa wybawić, a dla Pana naszego Jezusa Chrystusa pozyskać. Pragnę odkrywać nieznane ziemie, ażeby narodom tam żyjącym słudzy Boży nieśli światło wiecznego zbawienia. O ten tylko jeden zysk stoję, innego nie chcę, ani żądam“. — „Młodym jesteś jeszcze, i nie wiemy, czy wiele pożytku mieć będzie z ciebie kapitan okrętu, ale masz dobre chęci i miej tylko wytrwałość, a czyń jako mówisz. Pozwalamy ci przyłączyć się do tej wyprawy“. — Odbyłem tę wyprawę, dwa lata trwającą. Zwiedziłem wielką wyspę Islandyę i Grenlandyę, a gdyśmy utracili kapitana i sternika, ja ich miejsce zająłem i okręt szczęśliwie do stolicy doprowadziłem. Za powrotem król mię wspaniale wynagrodził tym oto darem.

I złożył przed rodzicami na stole ciężki łańcuch złoty.

— A teraz pozostaniesz z nami — rzekła ucieszona matka.

— Uczyniłeś zadość swym chęciom — mówił ojciec — i nie żal mi, żem ci jechać pozwolił.

— Przyrzekłem królowi, że powrócę i raz jeszcze popłynę na odkrycie nieznanych krajów. Właśnie monarcha wydał już rozkazy, aby spiesznie gotowano okręt, który mam prowadzić — mówił nieśmiało Jan.

— Jakto, — rzekł ojciec oburzony, — więc znowu chcesz nas opuścić? Przywiódł cię szczęśliwie Pan Bóg do domu, a ty zamiast podziękować Mu za to, odważasz się doświadczać Jego miłosierdzia?

— Panie ojcze — rzekł Jan pokornie, — żądasz więc żebym był nieposłusznym królowi, który nietylko mię łaskami obsypał, ale nadto tyle zaufania okazuje, że cudzoziemcowi własny okręt i ludzi swych powierza?

Przez kilka chwil głuche panowało milczenie.

— Król będzie sądził — mówił dalej Jan, — żem się uląkł dalekiej drogi, że Polak nie umie dotrzymać danego słowa; obiecałem wrócić.

— Obiecałeś wrócić, pocóż więc odjeżdżałeś?... Mogłeś zostać odrazu — rzekł ojciec.

— Gdy ujrzałem już okręt gotowy do drogi, wtedy, najmilsi ojcowie, stanęliście mi przed oczyma. I prosiłem króla, aby mi do was jechać po błogosławieństwo dozwolił. „Jedź, rzekł król, a powracaj rychło, bo z wiosną wyruszyć trzeba, a jeszcze dużo przygotowań masz poczynić do tak długiej i dalekiej podróży.

I rzekłszy to, padł Jan do nóg ojcu, a ściskając o pozwolenie prosił:

— Nie odmawiajcie mej prośbie, uczyńcie krzyżyk nad moją głową, a Pan Bóg pobłogosławi mej drodze i szczęśliwie do domu przywiedzie.

Chociaż myśl powtórnego rozstania z synem była dla rodziców bardzo bolesną, jednakże widząc tak wielką chęć w synu do wędrowania, a nadto zważywszy, że dał słowo królowi, iż poprowadzi wyprawę za morze, rodzic rzekł:

— Jedź, dziecko mojo, nie będę cię wstrzymywał. Może cię też Pan Bóg obrał sobie za narzędzie, abyś służył do rozszerzenia Jego chwały na ziemi. Niechże cię Bóg najmiłosierniejszy ma w swej opiece i szczęśliwie po bezdennych morzach prowadzi. Pobłogosławże mu i ty, matko.

Matka łzami zalana, nie wyrzekła ani jednego słowa, tylko wyciągnęła ręce nad głową klęczącego syna, przeżegnała go trzykrotnie, a potem objęła głowę i kilkakrotnie gorąco ucałowała.

Jan powstał, uścisnął braci i siostry i potem rozmawiali.

W kilka dni potem, pożegnawszy rodziców, braci i siostry, miasto rodzinne i przyjaciół, pośpieszył znowu do Kopenhagi, gdzie go Chrystyan I niecierpliwie wyglądał.

Wróżąc sobie wielkie dla państwa z odkrycia nowej ziemi korzyści, król duński chętnie podał przyjazną dłoń Janowi.

Gdy młodzieniec oświadczył, iż nim puści się w dalszą podróż, pragnie pierwej pożegnać rodzinę, Chrystyan I posądził go, iż stracił odwagę, że jak wielu młodych zapaleńców, przedsięwziął bez zastanowienia rzecz nad siły, a gdy przyszło do jej wykonania, cofnął się tchórzliwie. Lecz gdy Jan powrócił do Kopenhagi, i stawiwszy się na zamku oświadczył, iż trwa ciągle w powziętem raz postanowieniu, uścisnął go życzliwie.

— Odkryj nowy ląd, a zdobyczą podzielimy się po połowie — rzekł mu król w nadmiarze dobrego humoru, był bowiem przekonany, iż młodzieniec znajdzie jaką złotodajną ziemię.

Roku 1476 Jan Scolnus, takie bowiem marynarz polski przybrał nazwisko, na pamiątkę miasta Kolna z którego był rodem, odprowadzony przez króla i dwór cały aż do portu, wsiadł na przeznaczony dla niego statek, ze szczupłą garstką towarzyszów i przez cieśninę Kategat wypłynął na obszerne wody morza Północnego.

Najpiękniejsza pogoda sprzyjała podróżnym; niebo nie zasępione najlżejszą chmurką, zdawało się błogosławić ich przedsięwzięciom: okręt pchany lekkim powiewem wiatru, posuwając się równo, bez żadnej przeszkody ku północno-zachodnim stronom, dostał się na wody Atlantyckie i dobił szczęśliwie do brzegów Islandyi.

(Dokończenie nastąpi.)

WIOSNA.

(Ciąg dalszy.)

Lecz wysoko poprzez ciemności jaśniała zielona szata wiosny, a śpiew jej brzmiał donośniej od burzy i grzmotu.

Wiesz, że się cofnąć musisz, by nie ulec w boju,
Jam bowiem poprzedniczką i zwiastunką lata,
To, coś ty tchnieniem groźnym zgładziła ze świata,
Ja powrócę do życia, szczęścia i pokoju!

Zawierucha z jękiem pognała poprzez góry ku północy, a śnieg przestał padać.

Zaczęła się odwilż.

Nieraz jeszcze śnieg zalśnił, ciesząc się słońcem; ale inne to było słońce, niż tamto dawne, zimowe. Nie cierpiało one śniegu, a śnieg również go nie lubił.

— Czego ty tu chcesz? — pytało słońce śniegu, zaglądając coraz ciekawiej.

A śniegom dziwnie się jakoś robiło na duszy i życzyły sobie być już jak najdalej. Topniały od góry tak, iż tworzyły się wielkie kałuże, i topniały od dołu, spływały i nic z nich nie pozostawało.

A podczas, gdy wszystko tajało, coraz więcej i więcej, a powłoka śnieżna stawała się coraz ciensza, wiosna na skraju lasu, pochylona ku ziemi śpiewała:

A więc chyżo, kwiatki moje
Szybko wdziejcie barwne stroje
Żółte, białe, fioletowe —
Pierwsze grządki już gotowe!

Kwiatki natychmiast odmykały swe kielichy i pięły się w górę, chociaż maleńkie, boć dumne były z tego iż należały do pierwszych.

Podczas, gdy się jeszcze przeciągały, wiosna stała już w innem miejscu i śpiewała:

A ty pąku na gałęzi,
Gdzież jesteś, czy we śnie?
Cóż cię trzyma na uwięzi?
Nie przyjdziesz zawcześnie!

I w tejże chwili na wszystkich gałęziach wierzby zaroiło się od żółtych pączków, które wesołem kiwnięciem główek witały pierwiosnki.

Zaś wiosna odgarnęła na stronę najniższe gałązki krzaku, pochyliła się na ziemię, niżej, niż przedtem i zanuciła tak słodko, jak nigdy:

Bądź gotowy, mój symbolu,
Wierny, skromny fiołeczku
Wkrótce skąpiesz się w słoneczku
I deszczyk cię zrosi w polu!

I fiołek wystrzelił z pod ziemi swemi szerokiemi, zielonemi listkami, aby okazać wiośnie, że jest gotów.

Tymczasem zaś wysoko w górach ułożył się książę zimy i czatował. Widział, jak śnieg topniał i znikał; widział, kwiaty wykwitające i nie mógł przeciwdziałać temu. Śniegi ściekały z gór, a zima zrozumiała, że źle się skończy, jeśli ona temu nie przeszkodzi.

Więc pod zasłoną nocy wślizgnęła się w doliny, a nazajutrz rano lód ściął kałuże, mgła na łąkach błyszczała srebrnym szronem.

Kiedy jednak młody książę wiosny ujrzał tę zmianę, roześmiał się tylko.

— To ci nic nie pomoże! — rzekł.

I podniósłszy twarz ku niebu, zawołał:

— Słońce! słońce!

Na to wezwanie chmury się rozstąpiły, a słońce stopiło lód i szron.

— Tak, to dobrze! — rzekła wiosna.

Zaledwie wymówiła te słowa, wesoły wietrzyk wionął po wzgórzach.

Wówczas to zakwitł fijołek. Trwożliwie, skromnie ukrywał się pomiędzy szerokiemi, zielonemi liśćmi, lecz zapach jego roznosił się daleko po łąkach. Wiosna zaś poruszyła struny lutni i zaśpiewała, aż rozbrzmiewało wokoło:

Oto się budzi w mglisty dzień
Kwiatek maleńki — fioletowe
Nosi sukienki — łanów cień
Stroi w uśmiechy brylantowe!

A kiedy wiosna wyśpiewała tę piosnkę, a piosnka rozbrzmiała po wierzchołkach gór, dosięgła dna rzek i dolin, trudno opowiedzieć, co się wtedy stało w przyrodzie.

Bo oto pękały pączki; maleńkie, zielone torebki rozchylały się, gałązki wynurzały się i przeciągały; kwiaty rozkwitały. zapach się rozchodził i trawy kiełkowały.

W dzień słońce świeciło i deszcz padał na przemiany, ale pomimo to było przepięknie. Każda zaś istota, obdarzona wzrokiem, mogła się przyjrzeć dziwom nielada.

Więc przedewszystkim las bielił się od cudnych zawilców. A był tak białym, iż książę zimy który tu zaglądał poprzez szczeliny obłoków, myślał przez chwilę, że to był śnieg. Ucieszył się tak, jak nie cieszył oddawna. Kiedy zaś spostrzegł swą omyłkę, wślizgnął się po raz ostatni nocą do lasu i ukręcił główki tylu kwiatom, ilu zdążył.

Lecz oto w zamian za każdy pojedyńczy zmarznięty kwiatek, zakwitało tysiące nowych. Pośród zawilców leśnych usłały się płuczniki o niebieskich i różowych kwiatach, wedle upodobania, jaskry mocno żółte, ale pomimo to bardzo skromne, szczaw leśny, tak niezmiernie delikatny, iż wiądł za lada dotknięciem, pierwiosnki i przetaczniki, wprawdzie maleńkie lecz bardzo błękitne i dumne.

Łąka przystroiła się w nowy, jak z igły, kobierzec traw, ubrany żółtemi mlecznemi jaskrami. Wzdłuż rowów rozsiadły się milutkie fijoletowe dzwoneczki, a wokoło rzeki pas trzciny, która codziennie rozrastała się i stawała grubszą. Zaś z dna jezior na wyścigi wydobywały się na powierzchnię grube sitowia, a żaby, które całę zimą przesiedziały w mule, wygrzebywały się, wyciągały tylne nóżki, wypływały i pierwsze swe „kwak“ wymawiały tak mile, że się aż serce radowało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Uparty Wojtuś.

Otrzymał Wojtuś od mamy kochanej
Łakocie: ciastka, orzechy, kasztany...
A że to były jego imieniny,
Cieszy się chłopiec bardzo z tej przyczyny.
Zajada ciasta i orzechy smacznie,

Kasztanów nawet próbować nie zacznie!
A to dlatego bo nie znał ich smaku.
Mama więc rzecze: mój miły chłopaku,
To owoc dobry, choć się tu nie rodzi —
Kasztan jadalny z ciepłych stron pochodzi.
No, skosztuj tylko!... Wojtuś się otrząsa:
„Nie lubię, nie chcę!“ krzywi się i dąsa.
Ależ mój synu — znów mama powiada —
Smaku kasztanów doświadczyć wypada...
Naśladuj mamę kochany Wojteczku
I jedz tak samo choć po kawełeczku.
Spróbował Wojtuś: „prawdę mama rzecze —
To słodki owoc,... w język nic nie piecze —
Ja miałem o tem zupełnie sąd inny...
Ach, jakiż ze mnie był chłopiec dziecinny!
Kochane dziatki, posłuchajcie proszę,
Jaką wam z tego naukę wygłoszę:
Wojtuś doświadczył słodyczy kasztana,
Lecz go jeść musiał; — dziecino kochana,
Chcąc także wartość nauk, pracy poznać,
Trzeba się uczyć — trudów trzeba doznać!
Pilność i praca życie nasze słodzi —
Z próżniactwa tylko samo złe się rodzi. *Fr. Marzec*

ZAGADKA.

Pierwsza z trzecią — długie
Zorane, zasiane,
A kłosami latem
W koło pozłacane.

Druga — to przyimek
(Wprost i wspak czytany)
Wszystko — ziemia w Polsce,
Żyzne pól ma łany.

Rozwiązanie zagadki z nr. 7 „Dzwonka“:
MUCHA.

